Cena numeru 150.000 mk.

№ 2. Wilno, 27 stycznia 1924 r. Rok VII.

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 12 000.000 mk.
1/2 „ — 6.000.000 „
1/4 „ — 3.500.000 „
1/8 „ — 2.000.000 „

Sądy zaoczne.

Pewien znajomy Sokratesa, nad miarę usłużny dla mędrca, mówił mu raz, że ktoś go za oczami obrzuca obelgami. W odpowiedzi usłyszał: *mógłby nawet ów człowiek obić mię zaocznie!* Istotnie, nic łatwiejszego jak sądy i wyroki zaoczne, ale *jakaż* ich wartość?! Niegdyś prowadzono procesy zaoczne i wyznaczano kary *in effigie*, jeszcze dziś niekiedy zdarza się, że sądy kogoś, niechcącego stawić się przed trybunałem odnośnym lub nie uznającego jego kompetencji, sądzą zaocznie, są to jednak wyjątki z procedury normalnej, która za kamień węgielny prawomocności swego wyroku, uznaje przyznanie stronie oskarżonej możności obrony. Nie inaczej powinno się postępować w dziedzinie polityki.

Pomimo niejednokrotnych wyjaśnień z naszej strony, stale są czynione naszemu pismu zarzuty, że nie krytykuje stron ujemnych w stosunkach kowieńskich, że nie znajduje słów potępienia dla wybryków szowinizmu litewskiego. Zarzuty być może z pozoru słuszne, ale stanowisko nasze wypływa z zasadniczej niechęci do wydawania sądów i wyroków zaocznych. Mówimy i piszemy o tem, co się znajduje w promieniu naszego oka. Zwłaszcza, gdy wypada wydać sąd i wyrok ujemny o nieobecnych, jesteśmy nader powściągliwi. Takich oczywiście skrupułów nie mamy, gdy jest coś dobrego do zanotowania o stronie nieobecnej, a to dla tej prostej przyczyny, że dodatni sąd, w olbrzymiej większości wypadków, ujemnych następstw mieć nie może, jakoże nie wyrządza nikomu krzywdy. Powiększanie znowu chóru płaczek lub zespołu wrogo porykującego w stronę przeciwnika, urojonego lub rzeczywistego, nie uważamy za coś bardzo mądrego a pożytecznego dla kraju. Tembardziej, że obydwa te chóry bez nas są dostatecznie liczne w Wilnie.

Jeśli dziś poniżej, na przykładzie konkretnym, chcemy określić swe stanowisko względem pewnych ujemnych stron życia kościelno-narodowego w Litwie, czynimy to oczywiście nie dla zjednania względów p. Jot'a z „Dziennika Wileńskiego", lecz z powodu pewnego rozgłosu, jaki wywołało w prasie wileńskiej *różnych* odcieni opublikowanie memorjału złożonego przez polską frakcję sejmu litewskiego biskupowi żmudzkiemu ks. Karewiczowi.

Zasadniczy postulat memorjału nie nasuwa żadnych wątpliwości. Jedynie słusznem będzie, naszem zdaniem, unormowanie sprawy nabożeństw polskich na terenie diecezji żmudzkiej tak, by one po parafjach mieszanych nie były zależne od każdorazowego układu tu stosunków sąsiedzkich a towarzyskich między dworem a plebanją, lecz miały swe oparcie w pewnych *stałych* normach, określonych przez władzę diecezjalną.

Jeśliśmy z całą siłą piętnowali, — w imię zasady o wspaniałomyślnem zaspokojeniu w kościele potrzeb, chociażby dziesięciu tylko osób, — awantury w kościele św. Jana w Wilnie (1913), smutne wypadki w Raduniu i gdzieindziej, jeśliśmy głos swój nieraz podnosili w obronie kazań białoruskich dla najmniejszej gromadki, chcącej usłyszeć w tej mowie słowo Boże, to napewno nie zabraknie nam odwagi i konsekwencji wysunąć *tenże* postulat dla stosunków kościelnych w państwie litewskiem! Po obu więc stronach granicy litewsko-polskiej, winna być wymierzona *w całej pełni* sprawiedliwość najmniejszym nawet ułamkom ludności, tam polskiej, tu litewskiej i białoruskiej. Doprawdy, to takie elementarne, zrozumiałe samo przez się, że ani kler, ani lud temu nigdzie sprzeciwiać się nie powinny. *Rozszerzmy serca nasze!* Niech w niedziele i święta, od 6 rano do 6 wieczór, po kolei a zgodnie, rozbrzmiewają w świątyniach kraju naszego różnojęzyczne modły, pienia, westchnienia!... Komuż to zaszkodzi?!

Tak się przedstawia nam ta sprawa zasadniczo. O wiele trudniej ustosunkować się należycie do punktów poszczególnych memorjału. Tu właśnie w imię przedmiotowości trzeba postawić sobie pytanie: *czy i o ile są prawdziwe inkryminacje w nim zawarte?* Odpowiedzi na to udzielić dziś jednak nie sposób! Więc z całą ostrożnością dotykamy szeregu tych punktów.

Stopienie się całkowite u Polaków litewskich życia religijnego z życiem narodowem, o czem mówi memorjał we wstępie, jest ich rzeczą osobistą. Może ktoś w Litwie tego nie aprobować i inne poglądy na te sprawy mieć i wygłaszać, najmniej jednak byłby tu na miejscu gwałt jakiś. Zato wręcz niesłusznem jest biadanie memorjału polskiej ludności w Litwie *na naruszenie jej skarbów wiary*, kiedy jest dobrze wiadomo, że nikt Polakom w Litwie nie czyni żadnych trudności, w wyznawaniu przez nich dogmatów Trójcy, Niepokalanego Poczęcia N. M. P. i t. p. Niejeden znowu postulat memorjału polskiego jest tego rodzaju, że trudno nań naogół znaleźć środek zaradczy, nawet przy szczerej chęci. Rosnący w Litwie z roku na rok brak kapłanów, posiadających dostatecznie język polski, siłą rzeczy musiał wpłynąć na zmniejszenie się w wielu kościołach dodatkowych nabożeństw polskich. (2 — 3 godziny tygodniowo wykładów języka polskiego w seminarjum duchownem, bez konwersacji odnośnej i przy zaniku do polszczyzny sympatji, brakowi temu *nigdy* nie zapobiegną!). Warunki funkcjonowania seminarjum duchownego w Kownie z natury rzeczy uwzględniają przedewszystkiem uczącą się tam większość litewską.

Jednak polscy kandydaci do stanu duchownego nie powinni za żadną cenę omijać seminarjum żmudzkiego, mimo ciężkich (wierzymy) dla nich warunków. Brak z ich strony wytrwałości zaciążył dziś nad ich rodakami. Nie można też wkładać na seminarjum duchowne troski o wyszkolenie alumnów Polaków w... polszczyźnie. Właściwie młódź tak litewska, jak polska, winna już przed seminarjum nabyć dostateczną znajomość języka ojczystego. Zagranica nie zna seminarjów duchownych (poza t. zw. małemi chyba), gdzieby uczono np. języka niemieckiego, francuskiego, włoskiego... Może to i najlepsze dziś wyjście, by jakaś kongregacja zakonna mogła wziąć na siebie trud kształcenia z pośród Polaków w Litwie kandydatów do stanu duchownego w ilości potrzebnej. Będzie to nienajgorszy *selfhelp*.

Przesadą oczywistą grzeszy twierdzenie, że ludność polska na Litwie *na równi* z litewską niesie dziś ciężar materjalny fundowania (?) i utrzymywania kościołów i duchowieństwa katolickiego, ale nikt też nie może czynić jej z tego powodu zarzutów. Bo ów ciężar naturalnie spoczywać musi na barkach większości litewskiej.

Nie przesądzamy dalej, czy może być żywcem przeniesione do życia kościelnego diecezji żmudzkiej językowe rozporządzenie b. Administratora diecezji wileńskiej z r. 1911. — Zmiany personalne w składzie duchowieństwa... dobrze! — ale gdzież ten trybunał ponad narodowościowy, na którego decyzję zgodzić się mogłyby strony obydwie?! Przy braku zaufania zobopólnego, żadna sanacja tą drogą nastąpić nie może.

Sądzimy, że Polacy kowieńscy sprawiedliwszymi byliby w ocenie stosunków kościelnych w Litwie kowieńskiej, jeśliby pamiętali, iż w Wileńszczyźnie *poważnie liczebne skupienia* Litwinów, np. w Raduniu, dzięki agitacji kilkunastu warchołów i braku stanowczości ze strony proboszcza, upośledzone zostały w swych naturalnych prawach językowych, że u nas

„PANNA MARJA"

(Garść wspomnień).

W sierpniu 1896 roku w Grodnie, na ławie klasy wstępnej gimnazjum męskiego, mieszczącego się w murach po-dominikańskich, zasiadł, w liczbie czterdziestu z okładem nowicjuszów, miły, zlekka pucułowaty, niby włoski *putti*, chłopczyna, Andrzej Radziszewski. Nadzwyczaj ciemny parterowy pokój szkolny, mający od północy niewielkie okna, na niedościgłej dla wstępniaków wysokości; słynny dla swej srogości, lecz z bogatą praktyką pedagogiczną, kierownik klasy i główny nasz nauczyciel, dziś już nieboszczyk, Korsuńskij (zwany niekiedy, dla gry słów, po rosyjsku *jastrzębiem*) przez długi pierwszy rok szkolny naszego pobytu w gimnazjum stanowili jedyne tło i oś życia czterdziestki, ubranej w szare kurtki (podówczas jeszcze nie była narzucona młodzieży gimnazjalnej u nas późniejsza obrzydliwa forma moskiewskich „rubaszek" wdziewanych przez głowę). Z hałasem właściwym wiekowi chłopięcemu, czemu zaradzić nie mógł ostatecznie i sam Korsuńskij, wkraczaliśmy co rano o godz. 9 do klasy, by spędzić w niej szereg godzin prawie w półmroku. Doskonale pamiętam, jak Andrzejek siedzi o jakichś parę ławek przedemną, jak wyrywa go nasz nauczyciel, każąc nasamprzód coś przeczytać z rosyjskiego. Szło mu to nieszczególnie, bo rodząc się z matki koroniarki i obcując ciągle w domu, jako pieszczoch, z matką — wdową, trzymającą potem stancje uczniowskie, i starszą o lat kilka siostrą p. Łucją, mówił on z warszawska, bardzo śpiewnie, nie dając wprost nadziei, by kiedyś mógł się pozbyć akcentu zamiejscowego. Wprawiało to nieraz w niemały kłopot i raziło przykro Korsuńskiego, pedagoga ulanego z tegoż kruszcu, co wileńscy Dadykin, Turcewicz... Jeszcze szło Radziszewskiemu jako-tako z prozą, ale prawdziwą dlań biedą było pamięciowe wygłaszanie wierszy rosyjskich, gdy obcy akcent sprawiał mu złośliwe figle. Liczni w klasie Rosjanie też używali z niego i dali mu dla jego wyglądu panieńskiego i akcentu warszawskiego niezbyt pomysłowe, lecz w ich przekonaniu napewno bardzo dowcipne przezwisko: *panna Marja*. Nie mogło mu ono oczywiście bardzo się podobać, ale musiał biedaczyna je

również można znaleźć duszpasterzy, stawiających *notoryczne trudności lub wręcz odmowę*, gdy chodzi o używanie rodzinnego języka (litewskiego lub białoruskiego) przy spowiedzi, chrztach, ślubach, pogrzebach, katechizacji, kolędowaniu i t. d. Dalej w seminarjum duchownem w Wilnie również ujawniały się, jak słyszeliśmy, *tendencje* do powolnego wyeliminowania dziś nauki języka litewskiego, a już wiemy ze źródeł najpewniejszych, jak *ujemnie* działa ultra-endecka atmosfera, panująca w tej uczelni, na kształcących się w niem alumnów Litwinów i Białorusinów (o przeładowaniu seminarjum ex-wojskowymi ze wszystkich zakątków Polski „Przegląd Wileński" pisał w r. ub.), co w konsekwencji, po pewnym czasie, doprowadzić może do braku księży tej narodowości dla mas ludu litewskiego i białoruskiego.

Zarzut memorjału, opiewający, że *używanie organizacji Kościoła katolickiego dla celów polityki, w szczególności dla sprawy wojującego nacjonalizmu, przyprawia o szwank zasady wieczyste, na których Kościół nasz się wspiera* — może być żywcem zastosowany do diecezji wileńskiej, gdzie ogromnie się rozwielmożniła agitacja kleru endeckiego.

Identycznie brzmią też postulaty ludności niepolskiej w diecezji wileńskiej, odnośnie do wydzielenia tu i owdzie kościoła i zapewnienia w nich praw dla języków niepolskich, dokonania zmian w stosunkach personalnych, zabezpieczenia kandydatom do stanu duchownego, Litwinom i Białorusinom, możności kształcenia się i t. p.

Słowem i tu i tam nieszczęsna psychoza nacjonalistyczna szaleje z równem natężeniem, szerząc w umysłach zamęt, pojąc serca goryczą i siejąc w duszach zwątpienie w zwycięstwo zasad Chrystusowych . . .

A ferowanie surowych wyroków zaocznych niewątpliwie nie sprzyja jej osłabieniu.

Głos księdza o duchowieństwie.

Autokrytycyzm jest zjawiskiem tyleż rzadkiem, co pożądanem. Skwapliwie więc zamieszczamy poniższe uwagi jednego z kapłanów, pracujących w głuchym zakątku prowincjonalnym, nacechowane niewątpliwą szczerością i bezstronnością. Duchowieństwo w naszym kraju, gdzie jest taki brak sił inteligentnych, odegrywa rolę niezmiernie doniosłą pod względem politycznym, społecznym i kulturalnym, to też wszelkie informacje źródłowe z dziedziny życia naszego kleru są nader interesujące i cenne. *(Red.)*

Artykuł Gardinera: *Dlaczego ksiądz polski traci u nas coraz bardziej swe wpływy?* (Przegl. Wil. № 20 z r. 1923) jest nader aktualny. Napisany został z całą objektywnością i wielką znajomością rzeczy. Jabym tylko skreślił z tytułu słowo „polski", nadając tem artykułowi znamię uniwersalności. Sądzę, że wyliczone przez Gardinera, przyczyny odnoszą się do księży *każdej* narodowości. Zarówno Polak, jak Litwin i Białorusin w sutannie traci wpływ, jeżeli nie jest tem, czem być powinien — księdzem. Wszędzie, w każdej narodowości, znajdą się księża, tak nie mający wpływu, jak i tacy, co parafjom swoim przewodzą. Lud nasz mniej się interesuje narodowością księdza, niż jego moralną wartością, przynajmniej tam, gdzie walk narodowościowych nie było. W niejednej parafji, trzeba też stwierdzić, lud więcej się interesuje dziś kwestją taksy opłat kościelnych, niż językiem kazań wygłaszanych.

Bywa niekiedy, że w jakimś dekanacie tak ułożą się stosunki, iż księża pewnej narodowości górują pod względem powołania kapłańskiego nad innymi, byłoby jednak błędnem, jeśliby wyraźnie zaznaczali wobec ludu tę swoją wyższość. *Propria laus sordet.* Dzieje się to wtedy, gdy ktoś mówi z przekąsem o sąsiedzie, że się do niego nie jedzie, bo *tam panou budzie mnoha, a ja sam mużyk . . .!* Sądzę że jeżeli z jednej strony księżom Polakom należy zarzucić arystokratyzm, pomiatanie chłopem, zbyt wielką towarzyskość, to z drugiej strony u księży Białorusinów można się dopatrzeć innej skrajności.

---

znosić, nawet w dobrych lat kilka potem, gdy był już uczniem klas starszych.

Będąc w klasie wstępnej, Andrzejek nieraz zapadał na zdrowiu, wskutek czego opuszczał lekcje. Zawsze w takim wypadku przychodził do mnie ordynans jego wuja Stefańskiego, oficera wojsk rosyjskich, lub służąca po wskazanie dla chorego zadanych lekcyj, za czas nieobecności jego w szkole. Miałem snać w oczach chorego opinję dość pilnego sztubaka. Ogólnie biorąc, czynił on postępy w naukach wcale średnie, przezwyciężając trudności swą niezaprzeczoną pilnością, jak też zapewne pomocą siostry i nawet podkuwaniem.

Przejście do klasy pierwszej, wyniosło nas dosłownie z przyziemnej klasy wstępnej, na górę, na pierwsze piętro, gdzie po dokonaniu właśnie wtedy kapitalnego remontu, pełno było światła i wszystko wyglądało odświętnie. Byliśmy wprawdzie w jednej klasie, lecz wobec istnienia oddziałów równoległych, w dwóch różnych grupach, co jak wskazuje praktyka szkolna, zwykle odseparowuje trochę jednych od drugich, zwłaszcza gdy ten podział potrwa przez szereg klas kolejnych. Spotykaliśmy się zwyczajem gimnazjum grodzieńskiego, tylko na wykładach religji i gimnastyki, odbywanych wspólnie. Nieźle podkuwając lekcje religji — biblijkę — umiał Andziulek (bo i tak go nazywali później koledzy rodacy) wkupić się w łaski dosyć kapryśnego naszego katechety, przez którego był bardzo długie lata mile widzianym.

W klasach wyższych, gdzie rownoległych oddziałów czasem nie było, znowuśmy byli z nim razem, rok jeden — drugi. Tu dopiero zaczęła ujawniać się u mego koleżki zdolność i idące zeń w parze u niego zamiłowanie do matematyki Otrzymując z innych przedmiotów przeważnie trójki, staje się on niezadługo jednym z przedniejszych matematyków w klasie i, co zwykło nieodłącznie iść z tem, szykuje się do zostania inżynierem. Jednocześnie Radziszewski zbliża się do grodzieńskiej organizacji P. P. S., która podówczas, a były to lata 1903 — 1905, miała swych zwolenników już wśród młodzieży gimnazjalnej. Krok ten niewątpliwie wypłynął u niego z pobudek czysto ideowych. Działalność młodocianego pepeesa uwydatniała się więcej w cichej pracy wewnętrznej, w szerzeniu w Grodnie bibuły i t. d, natomiast na licznych w owych latach wiecach nie pamiętam, czy choć jeden raz występował Andziulek z mową.

Ponieważ w kl. VII zmuszony byłem przesie-

Niektórzy stanowczo przesadzają: chłopem się całują, prawią mu czułości... Wątpię, czy to jest wskazane! W praktyce, jeśli któryś z księży Polaków zasłuży nawet dla swej jednostronności na miano *pańskiego księdza*, to jednak ze względów taktycznych, miana mu tego wobec ludzi dawać nie należy. Nazwanie rzeczy po imieniu ieszcze nikogo nie poprawi, nie uleczy, jak mylnie myślą niektórzy. Jeszcze mniej wypadałoby posługiwać się terminem powyższym w tygodnikach, wyłącznie dla ludu poświęconych: godność stanu kapłańskiego winna być utrzymana ze wszelką cenę, kosztem nawet dużych ofiar, poniesionych przez ambicję jednostki.

Jedną, a nie najmniejszą z przyczyn upadku wpływów duchowieństwa u nas jest: bezczynność księży, sybarytyzm, egoizm, co chyba w danym wypadku na jedno wychodzi. Aby mi było dobrze, a reszta nic mię nie obchodzi! Niektórzy umieją tylko utyskiwać, że czasy się zmieniły, że uszczupliły się dochody. A jak tam ludziska żyją, co jest codzienną strawą ich dusz, jakie prądy nurtują w tych masach, na to się często zamyka oczy. Taka krótkowzroczność nie może się nie mścić. Jakoś jeszcze ogół duchowieństwa nie zżył się z nowemi warunkami i chciałby ciągnąć życie za uszy do dawnego łożyska. — Brak też wielki uświadomienia. Niektórzy wprost połapać się nie umieją, tracą głowę, działają naoślep. A nadewszystko — brak jedności, brak organizacji. Trzebaby wytworzyć front jednolity, a inicjatywa do tego powinna wyjść jak najprędzej. Sporadyczne błędy, różne nietakty i występki księży, nie bardzoby szkodziły w tym wypadku sprawie.

Rzeczą wołającą o pomstę do Boga jest ten nader smutny fakt, że po wojnie wśród braci kapłańskiej coraz mniej się widzi abstynentów, jeśli nie całkowitych, to przynajmniej *Temperanzler*'ów. Napiętnowania też godzien jest panoszący się w świecie powojennym flirt, ów nędzny surrogat przyjaźni, którym dziś ludzie się karmią, niepomni istotnej różnicy jaka zachodzi między dwoma temi pojęciami. Chciałbym wszystkim włożyć do serca to piękne zdanie prof. M. Zdziechowskiego: *Życie jest szukaniem dusz, któreby mogliśmy czuć i kochać.* A flirt właśnie zabija już nie tylko szacunek wzajemny, lecz samą wiarę w mężczyznę, czyniąc go podobnym do tokującego cietrzewia!...

Trudno dziś na parafji! Nie dlatego trudno, że materjalnie nieraz krucho (bo i to bywa!), nawet nie dlatego, że ludzie odsunęli się od kościoła, ale głównie dlatego, że na każdym proboszczu spoczywa większa niż kiedy odpowiedzialność. Jeszcze chyba wszędzie dałoby lud utrzymać przy kościele, ale jak się wziąć do tego? Życie tyle wysunęło nowych zdań, a tu tak mało rąk do pracy i tak mało odpowiedniego przygotowania! Do czego brać się przedewszystkiem! Kto to wyczuje, kto odgadnie? Sprawa kościoła u nas bynajmniej nie przegrana, tylko że my kapłani nie zawsze stoimy na wysokości.

Te myśli nasunęły mi się przy czytaniu artykułu Gardinera. Nie miałem czasu przetrawić tego, co piszę, ani lepiej opracować, — niech mi to już czytelnicy wybaczą.

F.

Prawda o celi Konrada *).

Spór o celę Konrada w murach po-Bazyljańskich trwa już w Wilnie *dwadzieścia* lat. Dlatego czas wielki napisać nie historję celi Konrada (niestety, wciąż zbyt mało jeszcze wyświetloną), lecz *historję jej poszukiwań*, przeważnie bardzo niefortunnych. Obfitowały one w momenty tragi-komiczne. Snać pod złym znakiem tę sprawę rozpoczęto, skoro już w zaraniu jej poszukiwań wzajemne animozje badaczy dały asumpt ówczesnemu prelegentowi w Wilnie, Feliksowi Czerskiemu, do złośliwych docinków *coram publico*.

Wydając na jesieni r. 1923 swe „Głosy z przed wieku", profesor St. Pigoń poświęcił tu jeden szkic *Celi Konrada*. Autor jego sądził zapewne, że mając

*) **Ant. Łuckiewicz.** *Prawda o „celi Konrada"*. W setną rocznicę procesu Filomatów Wilno 1923, str. 12.

dzieć dwie zimy, dałem się wyprzedzić Radziszewskiemu, który dlatego o rok wcześniej ode mnie zdobył maturę. Tak praca partyjna nie przeszkodziła mu bynajmniej w naukach. Z wcale dobrą maturą, podążył nasz kandydat na inżyniera nad Newę do Petersburga, gdzie, po złożeniu egzaminu konkursowego, został przyjęty do Instytutu Górniczego. Pilnie oddając się umiłowanej gałęzi nauk technicznych, Radziszewski wcale nie zaniedbuje pracy ideowej. Atmosfera rosyjska wpłynęła na niego tak, że przesunął się przekonaniowo od P. P. S. na lewo. Od wspólnych znajomych, którzy z nim się stykali czasu studjów wyższych, wiem, że korzystnie się wyróżniał swą inteligencją i głęboką ideowością, co nie było zjawiskiem codziennem wśród studenterji rosyjskiej. W tym okresie życia Radziszewskiego, wydziałem go po raz ostatni. Było to wtedy, gdy po jednej z konferencji kulturalno-etycznych, wygłoszonych w Grodnie przez ks. St. Miłkowskiego, stawiał wraz ze swą siostrą, która była dlań i przyjaciółką, prelegentowi zarzuty z zakresu stosunku kościoła do kwestji socjalnej.

Odtąd nigdy go już więcej nie spotykałem. Co robił przed i podczas wojny, nie wiem. Od przybyłych z Rosji dowiedziałem się tylko, że po rewolucji październikowej w r 1917, kiedy bolszewicy obalili Kiereńskiego, Andrzej Radziszewski wypłynął wśród nich, jako jeden z wybitniejszych komunistów. Pod kryptonimem *Arskij* ogłasza teraz cały szereg artykułów na temata ekonomiczno-społeczne w *„Izwiestjach"*, *„Prawdzie"* i gdzieindziej oraz wydaje osobno różne w tym zakresie studja. W ten sposób staje się on jednym z teoretyków bolszewizmu, pracujących nad ugruntowaniem ideologji komunistycznej. Dla swej wiedzy otrzymuje niebawem stanowisko wybitne, najbliższego spółpracownika przy zarządzającym organizacją metalurgji Szlapnikowie. Wszędzie cieszy się opinją człowieka ideowego, opinją, której nie odmawiają mu nawet przeciwnicy. Sekundowała Radziszewskiemu w pracy, wspomniana siostra Łucja, absolwentka gimnazjum grodzieńskiego, również gorliwa wyznawczyni programu komunistycznego, podówczas już zamężna. W r. 1920, czasu pertraktacyj ryskich, figurował w Rydze niejaki Arskij, ale nie będę twierdził, że to właśnie Radziszewski był tam jednym z ekspertów sowieckich.

W połowie roku 1923, przypadkowo przeglądając „Wilenskoje Utro", znalazłem na pierwszej stro-

w ręku plany klasztoru Bazyljanów z lat 1814 i 1845, na ich podstawie wyświetli ostatecznie a afirmatywnie topografję owej celi historycznej. W tym sensie otrąbił rozwiązanie problemu przez prof. Pigonia skądinąd ostry jego krytyk w „Słowie", p. Cz. Jankowski. Gdy pracowity a arcydrobiazgowy badacz Mickiewicza, tak spoczywa sobie, po wydaniu swych szkiców na wawrzynach, w ostatnich niemal dniach roku ubiegłego, ukazuje się w Wilnie niewielka broszura prezesa Białoruskiego Towarzystwa Naukowego, p. Ant. Łuckiewicza, zatytułowana znamiennie: *„Prawda o „celi Konrada"*. Rzecz ta przeznaczona była do „Tygodnika Ilustrowanego", jako sprostowanie wręcz mylnych, gołosłownych a bardzo krzywdzących dla Białorusinów wiadomości o celi Konrada, jakoby przez nich sprofanowanej utrzymywaniem w niej nadal ustępu! Oczywiście, sprostowanie to podzieliło los tylu innych podobnych prób, podejmowanych z naiwną wiarą, że jakiś organ prasy endeckiej, w imię słuszności, zechce je wydrukować, pozbawiajac tak siebie jak i swych czytelników możności powtarzania tegoż zarzutu w ciągu dalszym

Nie pozostało tedy nic innego autorowi sprostowania, jak wydać je drukiem po polsku, by rozproszyć wśród Polaków dobrej woli błędne przekonanie o haniebnem sprofanowaniu celi Konrada. Ten w swej istocie przykry, nawet bolesny temat p. Łuckiewicz potraktował bardzo źródłowo i z całą przedmiotowością wypełnił rzecz dotychczas sporną.

Autor kreśli naprzód krótki przebieg czynionych poszukiwań miejsca celi Konrada, od ich rozpoczęcia po chwilę ostatnią. Gdy prof. Pigoń odbiega od tekstu „Dziadów" i jest zdania, że owa cela do murów kościoła św Trójcy nie przylegała, Łuckiewicz trzyma się mocno określenia jej miejsca danego przez Mickiewicza w słowach: *przylega do murów kościoła* (cz. II, scena 1, w. 17). Prof. Pigoń, Kłos i Wacław Studnicki twierdzili tu, *iż omylił się... Mickiewicz!* (str. 6). Nie windykując wcale wielkiemu poecie nieomylności, nieskorzy jednak jesteśmy tę możliwość przyjąć, wiedząc jak uważnym, orjentującym się a posiadającym zmysł miejsca był Mickiewicz. Plany murów po-Bazyljańskich, rozważane przez mieszaną polsko-białoruską komisję, nie pozwalały orzec coś pewnego o topografji celi Konrada, wyobraźnia jednak dopełniająca prof. Pigonia ośmieliła go, jako pewnik, ogłosić, że Mickiewicz był więziony w pokoju przed obecnym ustępem!

Szczęśliwszem się jednak okazało Białoruskie T-wo Naukowe w Wilnie, które odnalazło *inwentarz klasztorny z dnia 23 kwietnia 1841 r.*, najwyraźniej opiewający, że cela, w ostatniej publikacji prof. Pigonia nazwana Konradową, *nigdy mieszkalną nie była i od wieków służyła za jedyne dla całego klasztoru „miejsce pospolite"!* (str. 8). Ponadto wyżej wzmiankowane T-wo wyszukało litografję wyglądu klasztornego, przez prof. Trutniowa sporządzoną do albumu Batiuszkowa: *Zamieczatielnosti Siewiero-Zapadnago Kraja* (1868—1870). Zmniejszoną jej reprodukcję znaleźć można w książce tegoż Batiuszkowa: *Biełorussija i Litwa* (Petersburg 1890, str. 89). Owóż ta podobizna ukazuje nam piętrową przybudowę, właśnie przylegającą do kościoła św. Trójcy, a zaopatrzoną w osobne wejście. Dzięki temu nadawała się ona najbardziej na więzienie i rzeczywiście najlepiej odpowiada opisowi mickiewiczowskiemu. Dla umożliwienia odbywania procesyj dokoła kościoła, owa przybudowa została w połowie XIX w. zniesiona całkiem.

Tak zginęły bezpowrotnie dla nas i potomnych mury, w których czekał na deportację z Wilna największy piewca ziemi naszej.

Mimo prowokacyjnego sposobu traktowania przez niektórych kwestji czysto historycznej, jaką jest niewątpliwie topografja celi Konrada, p. Antoni Łuckiewicz *sine ira et studio* dał gruntowną odprawę tym wszystkim, co chcieliby swym krzykiem w niebogłosy z powodu rzekomej profanacji celi Konrada przysłużyć się nie tyle nauce, co wpływowej dziś . endecji.

Erka.

---

nicy depeszę z Petersburga o odbytym tam kongresie komunistów polskich, który obradował pod przewodnictwem właśnie Andrzeja Radziszewskiego, jako *wodza komunistów polskich w Rosji*. Miał on się wyrazić, że ośrodkiem, który przewrót w Polsce przygotuje, będzie Łódź, a dokona go robotnik polski, stanąwszy pod sztandarem komunistycznym. Powyższe tem jest dziwniejsze, że Radziszewski dotychczas jakby niczem się nie wyróżniał od reszty komunistów rosyjskich, stojących u steru rządu sowieckiego, tak że można było sądzić o pewnem zatarciu się w nim psychyki indywidualno-narodowej. Tymczasem wiadomość powyższa mówi nam co innego: Radziszewski zajął przednie miajsce w polskim ruchu komunistycznym w Rosji, obok innych komunistów polskich, jak Dzierżyński, Marchlewski, Radwański, Bobiński...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ze starszych i młodszych kolegów Radziszewskiego z gimnazjum grodzieńskiego znaleźli się w partji komunistycznej w Rosji, z Polaków — bracia Matuszewscy, Władysław i Stanisław, (pierwszy podobno piastuje dziś jakiś urząd w przedstawicielstwie sowieckiem w Kownie, drugi w szkolnictwie polskiem w Petersburgu; obaj byli w Wilnie i przemawiali na wiecach w r. 1919), z Rosjan: Korotkow, piastujący w roku 1923 godność członka WCIK'a w Moskwie i Aleksander Djakonow, będący jeszcze w roku 1920 prezesem najwyższego trybunału sądowego tamże, a czynny też na polu publicystycznem. Rzecz znamienna, że nikt z Żydów, naszych kolegów klasowych, nie wybił się do przednich szeregów komunistycznych, mimo że w strajkach gimnazjalnych i demonstracjach 1904 — 1905 r. brali udział bardzo wydatny.

Dobrze pamiętając panieńskie liczko koleżki lat szkolnych, Andrzejka Radziszewskiego, trudno mi je przedstawić sobie dziś, gdy patrzy na nas... wódz komunistów polskich. Głęboki tedy rozdźwięk będzie budziło dla b. wychowanków gimnazjum grodzieńskiego, urządzających 24 kwietnia r. b. w Grodnie ogólny zjazd koleżeński, wspomnienie tej tragicznej postaci, niegdyś dla nas tak bliskiej i miłej.

Jadźwing.

Piszą do nas.

Szykany administracyjne.

Dopiero w r. 1920 powiat Brasławski znalazł się pod panowaniem polskiem. Znalazł się chyba po to tylko, by stać się najbardziej zapadłym kątem kresów Rzeczypospolitej, wydanym na łaskę i niełaskę słynnej już dziś wszędzie administracji kresowej, gdzie popisują się różne łobuzy, jak ich bardzo jeszcze delikatnie określił prezydent Wojciechowski. To, co gdzieindziej odbywa się podług pewnych, lepszych lub gorszych norm, u nas polega na widzimisię jakiegoś kacyka prowincjonalnego. Głośną była latem r. ub. sprawa starosty brasławskiego p. Mistata, który swą energję a sprężystość przejawiał między innemi w tem, że przyaresztowywał wiejskie dziewczęta, idące z wiankami dla ozdoby kościoła na odpust do Dryświat, a podczas świątecznego zgromadzenia tu ludu poczynał sobie istotnie po kozacku, obrażając uczucia ludu nieuszanowaniem powagi miejsca i chwili. Zaaresztowawszy gromadę Bogu winnych ducha ludzi, królik Brasławski spostrzegł, że za daleko się zapędził, ale już było zapóźno. Energiczne wystąpienie wtedy ks. Michałowskiego, proboszcza w Dryświatach, w dalszym ciągu wypadków uwolniło nasz powiat od eksperymentów administratorskich p Mistata, który został odwołany, ku niemałej radości mieszkańców.

Niedługą jednak ona była, bowiem rychło urząd starosty Brasławskiego powierzony został niejakiemu p. Żelisławowi Januszkiewiczowi, który nie omieszkał nas wkrótce pouczyć o tem, jak swoiście rozumie praworządność. Uczynić to postanowił na paru pokazach, przyczem uznał za najwłaściwsze obrać *ad hoc* księży powiatu Brasławskiego.

Pod względem kościelnym, do r. 1920 nasz powiat stanowił część diecezji Żmudzkiej, a dziś prowizorycznie trzynaście należących doń parafij rządzone są przez wikarjusza jeneralnego ks. Piotra Mańkowskiego, który jest jedyną prawowitą władzą duchowną dla kleru brasławskiego i wszystkich spraw natury kościelnej. Otóż taki stan rzeczy jawnie nie podobał się staroście p. Januszkiewiczowi, który postanowił wnieść doń zmiany istotne. Czytał przecież kiedyś na ławie szkolnej o walce cesarzy z domu Hohensztaufów z papieżami, o ingerencji w sprawy Kościoła królów francuskich, o śmiałych poczynaniach Napoleona z Piusem VI... i w duszy żądnej łask i awansów Wilna, ba! samej Warszawy, zrodziła się chęć okazania silnej ręki w stosunku do kleru miejscowego. A gdy chęć jest ku czemuś, powód zawsze się znajdzie. Zwłaszcza, jeśli objektem represji mają być księża Litwini, przeciw którym na poczekaniu można sporządzić akt oskarżenia w materji najbardziej dowolnej, wprost *ex promptu*. Tak też uczynił p. Januszkiewicz: oto dokonano z jego rozkazu w całej parafji rymszańskiej wielkiej rewizji, w poszukiwaniu materjałów kompromitujących. Znane są nam miejscowości, gdzie za rzecz kompromitującą gospodarza uznano nawet.. groch i stare żelastwo! Nie wyłączono z tej rewizji ks. Paukszty, proboszcza w Rymszanach, który pełniąc urząd vicedziekana Moskwy zjednał sobie uznanie licznych Polaków, w tej liczbie przebywającego tam podczas wojny ś. p. ks Kaz. Lutosławskiego. Po dokonanej rewizji u nas cicho - głucho, jakby władze nie mogły przytoczyć, co właśnie obciąża wobec rządu polskiego jednostki zrewidowane.

Niedość tego, w połowie grudnia r. ub. starosta p. Januszkiewicz wezwał do siebie ks. P. Mańkowskiego i w jego obecności zaproponował ks. Daukszy, proboszczowi w Brasławiu. alternatywę: albo przenieść się na probóstwo do Rymszan, zamiast usuwanego stamtąd ks. Paukszty, albo liczyć się jako z faktem z deportacją za granicę litewską! Termin na wykonanie powyższych zarządzeń był dany do Świąt Bożego Narodzenia. Podobno ks. Dauksza miał się zgodzić na wyjazd do Rymszan, a ks. Paukszta na natychmiastowe usunięcie go od pełnienia obowiązków proboszcza. Taka fama się rozeszła po Brasławszczyźnie. Okazała się jednak ona mylną, bo w chwili, gdy to piszemy, obaj wspomniani księża zajmują nadal swe parafje.

Być może sam p. Januszkiewicz po niewczasie zmiarkował, że dużo przesadził w swej gorliwości służbowej, ale te refleksje są jego osobistą własnością. Nas tu interesuje sprawa zasadnicza — wzgląd na wolność Kościoła, która jest mu zawarowana w państwie polskiem konstytucyjnie. Wysoko cenimy wikarjusza jeneralnego ks. Mańkowskiego, jednak nie możemy powstrzymać się tu od uwagi, że nigdy nie powinien byłby zezwolić na to, by w jego obecności starosta pozwalał sobie na podobnie zuchwałe wtrącanie się do dziedziny czysto kościelnej, jaką niewątpliwie jest translokata księży i wymierzanie im ewentualnych kar.

Wielka szkoda, że najwyższy zwierzchnik kościelny zakątka Brasławskiego nigdy nie odwiedza Wilna, gdzieby u władzy duchownej znalazł moralne poparcie dla obrony przynależnych Kościołowi praw, deptanych przez łobuzów kresowych. Również delegatura na instancje odnośne mogłaby z Wilna choć w części poskromić zapędy gorliwości starościńskiej.

A może najbardziej celowem byłoby powiadomienie nuncjusza warszawskiego o szykanach, jakie stosuje względem duchowieństwa administracja w Brasławszczyźnie.

Miejscowy.

Z cudzego notatnika.

Rozmowa z dyplomatą.

Onegdaj na raucie u pani X. miałem zaszczyt poznać bardzo poważną osobę ze świata dyplomatycznego. Osoba ta reprezentuje jedno z mocarstw zagranicznych, ale którego nie powiem, by nie wikłać i tak już zawikłanej sytuacji międzynarodowej.

Skorzystałem naturalnie z tak szczęśliwej okazji, aby nawiązać rozmowę o mocarstwowem stanowisku Polski i jej roli wobec nowych posunięć na szachownicy polityki europejskiej.

— Jak stoją akcje Polski na giełdzie politycznej Europy? — spytałem dyplomaty.

— Bardzo wysoko, — uprzejmie odpowiedział dyplomata.

— Cóż mówią o naszej polityce zagranicznej?

— Nic nie mówią, — równie uprzejmie oświadczył dyplomata, a spostrzegłszy pewne zdziwienie na mojej twarzy, wyjaśnił:

— Wasza młoda Rzeczpospolita śród republik współczesnych młodych i starych, małych i wielkich jest tą matroną rzymską, o której najmniej mówią i która właśnie dla tego cieszy się najlepszą reputacją i największym szacunkiem.

— Czemu zawdzięcza Polska swoje tak zaszczytne stanowisko wśród narodów świata?

— Talentom waszej dyplomacji, wytrwałej pracy placówek zagranicznych i trafnym instrukcjom centrali ministerjum spraw zagranicznych, które kierują się zasadą, że „milczenie to — złoto".

— Więc, zdaniem pana, tego złota nam nie brak?

— Starczyłoby go na pokrycie złotego polskiego!

— A co pan sądzi o obecnej naszej sytuacji finansowej?

— Przekonałem się, że są na świecie rzeczy, o których nie śniło się nietylko filozofom, jak mówi Hamlet, ale i ministrom skarbu, których pomysły bywają fantastyczniejsze od snów filozofów.

— Co szczególnie zadziwia pana w zjawiskach naszego życia finansowego?

— Metamorfozy franka złotego. Zawsze myślałem, że jak kilo tytuniu waży tyleż, co i kilo żelaza, tak samo i frank złoty jest frankiem złotym niezależnie od tego czy kupuję tytuń, czy bilet kolejowy, a u was wartość franka złotego zmienia się w zależności od towaru. który się kupuje. Macie specjalny złoty frank dla wyrobów tytuniowych, inny złoty frank dla opłat kolejowych i złoty frank waloryzacyjny dla innych wypadków nieprzewidzianych.

Ten złoty frank tytuniowy, który ma kurs najwyższy, szczególnie mnie intryguję, nietyle dla tego, że palę cygara, ile dla tego, że zapotrzebowanie na tego franka tytuniowego, zdaniem mojem, spowodowało spadek franka francuskiego, co wywołuje takie komplikacje międzynarodowe.

— Więc pan przypuszcza, że gdybyśmy wprowadzili dolara tytuniowego, to spadłby dolar amerykański?

— O tak, sądzę, że waszej waloryzacji w dolarach nie wytrzymałaby i Ameryka.

Ameryka niech sobie, — pomyślałem, — ale nasza biedna samotna Polska dolorosa?

Dolara tytuniowego wprawdzie nie mamy, ale już dawno nauczyliśmy się obliczać w dolarach. Z tej jednak dolaryzacji tymczasem nic prócz doloryzacji nie wychodzi.

Nemo.

(„Kurjer Poranny").

Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Koniec iluzji. — Interpelacja wileńskich robotników żydowskich pod adresem P. P. S. — Echo zgonu d-ra Eljaszewa (Bał Machszowesa). —)

„Der Frajnd" w artykule wstępnym p. t. „Koniec iluzji" daje wyraz swemu oburzeniu z powodu uniemożliwienia przez rząd litewski istnienia nadal ministerstwa dla spraw żydowskich. Oto co pisze w tej sprawie:

„Ta sama Litwa, która w pierwszych latach swej samodzielności tak umiejętnie wykorzystała wpływ żydowski w celu wzmocnienia swej egzystencji, obecnie widocznie nie chce zostać wyjątkiem pomiędzy nowemi państwami „buforowemi", które względem ludności żydowskiej nie chcą stosować praw, ustanowionych przez traktat Wersalski w stosunku do mniejszości narodowych".

Stwierdziwszy fakt, że podczas podróży po Europie, powziętej w interesach Litwy ze strony ministra do spraw żydowskich d-ra Rozenbauma, (który zresztą objął urząd po długich pertraktacjach i daleko idących przyrzeczeniach ze strony rządu), skreślone zostały pozycje w budżecie, dotyczące ministerstwa do spraw żydowskich, i usankcjonowana została ustawa o przymusowym odpoczynku niedzielnym, pismo konkluduje:

„Zamach ten ze strony panującej większości w Litwie", nie licząc codziennych prześladowań i szykan, które sypią się tam stale na ludność żydowską i podkopują jej dobrobyt ekonomiczny, wywołał zrozumiałe rozgoryczenie we wszystkich sferach ludności żydowskiej Litwy.

Wyraziło się to przedewszystkiem w prośbie o dymisję, złożonej przez ministra do spraw żydowskich, który samym faktem pozostania w rządzie antysemickim usprawiedliwiłby i sankcjonował niejako gwałty popełniane na Żydach, zaś rządowi Litwy umożliwiłby w dalszym ciągu chlubić się przed światem owym „rajem żydowskim", jakim rzekomo jest Litwa. Dzięki konsekwentnemu postanowieniu p. Rozenbauma podania się do dymisji, zniknie obecnie iluzja autonomji żydowskiej w Litwie, a reakcyjna Litwa ukaże się we właściwem świetle. Odtąd panującym sferom litewskim nie uda się dłużej tumanić żydowską opinję społeczną, zaś uświadomione żydostwo wszystkich części świata potrafi z tych faktów wyciągnąć odpowiednie konsekwencje".

„Tog" również jest rozgoryczony z powodu antysemityzmu panującego w Kownie, którego ofiarą padł p. Rozowski, znany także na gruncie wileńskim jako pomocnik komendanta milicji. P. Rozowski — człowiek nieposzlakowanej uczciwości,—pracuje z zaparciem się siebie jako wyższy urzędnik policji w Kownie, mając jedynie dobro kraju na względzie. Temi dniami jednak został również usunięty z zajmowanego przez się stanowiska. To też „Tog" z sarkazmem i ironją mówi o państwie litewskiem z jego tępym antysemityzmem, o zdemoralizowanej policji kowieńskiej, nie mogącej znieść w swojem łonie tak uczciwej i szlachetnej jednostki i t. d. Da się tu zastosować znana maksyma łacińska: Unius dementia dementes efficit multos.

„Unzer Gedank" zamieszcza charakterystyczną interpelację do wileńskich pepesowców, w której między innemi powiada:

„W wileńskiej Radzie Miejskiej kilkakrotnie została poruszona kwestja bądź unieważnienie, bądź ułatwienia przymusowego odpoczynku niedzielnego Jest jasnem, że radni pepesowcy powinni byli przemówić i głosować za tem. Kto bowiem, jeśli nie socjaliści mają występować przeciwko uciskowi narodowościowemu, zwłaszcza że proletarjat żydowski nie posiada swego przedstawiciela w Radzie Miejskiej ?"

Zestawiając fakt głosowania za przymusowym odpoczynkiem niedzielnym razem z endecją radnego Godwoda, wybitnego działacza z P. P. S. który waha się stale między chadecją i socjalizmem, z wystąpieniem na porzedniem zebraniu w Radzie Miejskiej przeciwko przymusowemu odpoczynkowi niedzielnemu drugiego działacza z P. P. S. radnego Zasztowta, pismo zapytuje kto właściwie z tych dwóch radnych jest istotnym wyrazicielem stanowiska partji w tej sprawie?"

Głośnem echem odbiła się w Wilnie śmierć d-ra Eljaszewa, (popularnie znanego pod pseudonimem Bał Machszowesa), który zmarł w Kownie. Zaznaczyć wypada, że Bał Machszowes był pierwszym krytykiem na miarę europejską młodego piśmiennictwa żydowskiego, wprowadzającym doń metodę estetyczną. O jego dwudziestopięcioletnim jubileuszu pracy literackiej przed niespełna rokiem pisaliśmy na tem miejscu. Dodajmy, że czerwoną nicią przewija się w działalności literackiej zmarłego dążność do stworzenia syntezy między kulturą żydowską i europejską.

Bał Machszowes hołdował wprawdzie ideałom sjonistycznym, wszystkie swe prace literackie ogłosił jednak prawie wyłącznie w języku żydowskim i był zwolennikiem dwujęzykowości (żydowski i hebrajski) u Żydów.

Miecz. Gold.

Bibljografja.

Zachodniaja Biełaruś. Zbornik gramadzkaje mysli, nawuki, literatury, mastactwa Zach Biełarusi. Wilnia, 1924. Str. 155.

Po raz pierwszy Białoruś Zachodnia zdobyła się na większe nieperjodyczne wydawnictwo. *„Zachodniaja Biełaruś"*, której zeszyt pierwszy niedawno się ukazał, obiera sobie jako cel najbliższy, *samokrytykę, pogłębienie myśli naogół, odnalezienie istotnych wartości śród tego, co wyrzuciły na brzeg fale morskie, potężnego prądu odrodzeńczego* (str. 1). Ruch białoruski, od r. 1905, uczynił olbrzymi krok naprzód. Dominował w nim dotychczas głównie, jeśli nie jedynie, kierunek kinetyczny, spychając moment statyczny na miejsce ostatnie. Stąd ideologja białoruska nie rozwinęła się tak, jakby mogła i powinna była. Powstałą tak lukę ma niejako zapełnić świeże wydawnictwo, ukazujące się dziś *sub auspiciis* Białoruskiego T-wa Wydawniczego.

Zeszyt omawiany rozpoczyna się zasadniczym artykułem najzdolniejszego publicysty białoruskiego, Ant. Nowiny: *Kryzis idei, ci kryzis hramadzianstwa?* (str. 3—6). Szkoda tylko, że autor, mówiąc o Aleksiuku, Dubiejkowskim, Bałachowiczu i in. daje upust złośliwości namiętnej, używając w stosunku do nich wyrazów nieparlamentarnych. Niech już używanie ich będzie przywilejem prasy codziennej!... Niezwykle ciekawą a godną tu uwagi jest dłuższa praca: *Hetym pieramożasz!* (szkic optymizmu krytycznego) Sulimy. Na sześćdziesięciu stronicach autor rzucił tyle myśli i uwag, przytem najściślej związanych z życiem jednostki i ogółu, że omówienie osobne owego szkicu odkładamy na czas inny.

Beletrystykę reprezentuje w wydanym zbiorze obrazek chlubnie znanego M. Hareckiego: *Chomczyn kaniec* wyjęty z opowiadania *Za szto?* Jest to fragment z przesmutnej epopei wojennej, niedawno przez świat przeżytej. — Prawdziwą ozdobę najwytrawniejszego czasopisma może stanowić artykuł T. Waronicza: *Narod i dziarżawa.* Wyróżnia go znakomite a głębokie opanowanie przedmiotu, świetna logika i zajmujące ujęcie rzeczy. Dużą wartość krytyczno-literacką posiada drugi tu płód pióra Ant. Nowiny. *Nowaje u biełaruskaj poezii* Autor subtelnie analizuje w nim najnowsze utwory muzy białoruskiej, wykazując o ile one swemi wieszczemi nastrojami wyprzedzają życie Białorusina lub są tegoż wiernem odbiciem w duszy autorów. Ant Nowina umiejętnie łączy w sobie talent publicystyczny z przenikliwością krytyka literackiego. Dalej znajdujemy w zeszycie kilka rzeczy historycznych a wcale aktualnych, np. *Nacyjanalnaść u Wincuka Dunin-Marcinkiewicza* przez R. Sunicę, *Nieznany wiersz* jego, *Wiaznica Adama Mickiewicza* przez Ant. Łuckiewicza z ilustracjami. Wszystko to są rzeczy, opracowane na podstawie nowych materjałów, więc wartościowe. Nie została pominięta dziedzina życia praktycznego, której poświęcony jest artykuł retrospektywny: *Z minuuszczyny kooperacyi u Wilenszczynie* przez Ig. Konczewskiego. Zeszyt wypełniają materjały i uchwały pierwszego zjazdu nauczycieli białoruskich średnich szkół Białorusi Zachodniej, który się odbył 11—14 kwietnia 1923 r. Dowodzą one wymownie, że białoruskie nauczycielstwo szkół średnich, acz nie jest wolne od różnych niedomagań, pracuje nad tem, by dotrzymać kroku rozwojowi spółczesnej wiedzy pedagogicznej.

Obok prozy, szereg tu zamieszczono utworów poetyckich. Tak w *Zach Biel.* znajdujemy mocny wiersz i dramatyczny obrazek L. Rodziewicza, pełne rzewnego liryzmu poezje Kaz. Swajaka, wiersz w prozie Ig. Konczewskiego, nowy po długiem milczeniu debiut E. Lewczyka, bardzo ładny a nastrojowy wiersz Wł. Żyłki, wypróbowanej już wartości fragmenty poetyckie Jasakara i M. Bohdanowicza, wreszcie kilka słowiczych aryj urodzonej a bardzo zdolnej poetki Natalji Arsienjewoj.

Winjetki wykonał piórkiem dobry znawca krajobrazu białoruskiego Józef Drozdowicz, umiejący środkami nader prostemi osiągać nieraz duży efekt artystyczny.

Obserwator

P. Klimas, *Litwa Starożytna (tłumaczenie z litewskiego), Wilno, wydawnictwo „Nowin Wileńskich", r. 1921-23.*

Autor wyżej wymienionej książki, jak to widać z przedmowy i treści, miał na celu odtworzyć przeszłość narodu litewskiego od najstarszych czasów do wieku XIII. Zaraz po przeczytaniu książki Klimasa nasuwa się pytanie: czy autorowi udało się stworzenie obrazu przeszłości narodu litewskiego (a o to przecież powinno mu chodzić)? Uważny i nieco obeznany z pracami historycznemi czytelnik odpowie, że nie.

Autora na bezdroża wywiódł brak znajomości metody i mocno przytłoczyły dokumenty i cytaty, z któremi, o czem się łatwo przekonać z pierwszej lepszej stronicy, młody historyk nie mógł dać sobie rady. Autor przedstawił poglądy rozmaitych autorów w sposób, jaki zadowolić nie może obecnych wymagań naukowych. Brak jasnego sprecyzowania obcych cytat i jasnej na nie odpowiedzi i należytego rozłożenia argumentów. Autor czuł prawdopodobnie brak sił do odpowiedniego przedstawienia swych poglądów, gdyż na 147 stronach mamy aż 753 cytat autorów innych, branych często bezkrytycznie, z czego wytworzył się naukowy konglomerat.

Vilnius 1323—1923. *Wydawnictwo Tow. „Szwiturys" w Kownie.*

Rocznicę założenia Wilna Litwini uczcili nad wyraz luksusowem wydaniem monografji o Wilnie pod tytułem: „Wilno — 1323 — 1923". W monografji tej zostały zamieszczone wszystkie, stare i nowe, kopje ilustracyj na pięknym papierze. Wstęp, monografję historyczną, opracowali p. p. K. Pomkis i P. Taralis.

Całość przedstawia się okazale i może iść śmiało w zawody z europejskiemi wydawnictwami w tym zakresie.

W. Sak.

Treść numeru:

Sądy zaoczne. — *F.* Głos księdza o duchowieństwie. — *Erka.* Prawda o celi Konrada. — *Miejscowy.* Szykany administracyjne. — *Nemo.* Z cudzego notatnika. — *Miecz. Gold.* Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej. — Bibljografja. — Odcinek. *Jadźwing.* — „Panna Marja".

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Ludwik Abramowicz.** Druk. „Lux" Wilno, ul. Gen. Żeligowskiego № 1